

Wiatr, deszcz, liście - świat walił we mnie wszystkim co miał pod ręką. Mój organizm zareagował we właściwy dla siebie sposób: kaszel, gorączka, nieodparta potrzeba narzekania i płaczu. Szedłem tak skulony tuż przy witrynach sklepowych (samochody nie ochłapią, a i ludzie tak nie pędzą jak pośrodku), marząc o zamieszkaniu w kaloryferze, kiedy nagle zobaczyłem Ją.

Właściwie to trudno było jej nie zauważyć. Piękna, wysoka, i... naga. Szła przed siebie nie bacząc na zatrzymujące się dookoła samochody, zdumione spojrzenia przechodniów i ich komentarze. Czoło wysoko podniesione, oczy wbite w nieokreślony punkt przed sobą. Miała w sobie coś mistycznego; coś, co powodowało, że żaden pijaczek czy młodzieniec nie śmiał jej tknąć, choć brak stroju nie tyle do tego prowokował, co wręcz upoważniał.

Dopiero po chwili zauważyłem, że idę za nią. Nie potrafiłem oderwać od niej wzroku. Boże, była taka piękna! W ciągu kilku minut stała się dla mnie jedynym marzeniem, jedynym celem. Musiałem ją poznać, musiałem się dowiedzieć o niej wszystkiego. Nie było nic ważniejszego niż potrzeba wyróżnienia się przed nią od reszty świata.

Zacząłem więc w pośpiechu analizować wszelkie możliwe pomysły stania się widzialnym. Okryję ją kurtką, aby się nie zaziębiła...? Nie. Ponadwymiarowość służyła jej za najcieplejsze futro. Zaatakować urokiem osobistym? Nie. ...bo nie! Zaaranżowanie niebezpiecznej sytuacji, z której mógłbym ją uratować...? Nie. Życie mnie nauczyło, że jeśli biorę udział w niebezpiecznej sytuacji, to raczej jako ratowany niż ratujący.

Tak więc pustka kompletna, potęgująca z każdym krokiem pragnienie i coraz dotkliwszą bezradność. Deszcz spływał po jej nagim ciele, wiatr rozwiewał jej włosy, a ona szła, znając swój cel i przeznaczenie. Fatalne uczucie: świadomość, że to nie ja jestem tym celem - i nigdy nie będę.

Lecz szedłem za nią przez cały czas. Nie mogłem nie uczestniczyć w czymś tak niezwykłym jak przemarsz nagiej bogini przez miasto. Nie wiedziałem dokąd, nie wiedziałem po co, nogi pokonywały dystans dotychczas dla nich nieznany. Jednak wciąż szedłem; ba, nie wiedziałem czy istnieje cokolwiek co mogłoby mnie w tej podróży powstrzymać.

A jednak...

Kiedy opuściliśmy już miasto i maszerowaliśmy na południe, Ona nagle przystanęła. Pod drzewem nieopodal stał On. Piękny, wysoki, nagi. I tak jak Ona, czoło wysoko podniesione. Zobaczył ją, wyszedł na drogę i zaczął szybko iść w naszym kierunku. Ona także ruszyła. Wpadli sobie w ramiona i zaczęli się całować. A potem stali przytuleni. Dookoła deszcz, pioruny, wiatr łamie gałęzie - Oni nie zwracali na to żadnej uwagi. Po chwili On zaczął nucić jej jakąś piosenkę. Cicho, lecz głos zdawał się rozchodzić po całym świecie.

I zrozumiałem, że czas wracać do domu. Szedłem więc z powrotem, tracąc w pewnym momencie wiarę na dotarcie do celu. Ale udało się. Rzuciłem się na łóżko, przykryłem kilkoma kocami i zasnąłem. A za oknem wciąż się snuł cichy śpiew Jego.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

szymonjot, dodano 12.09.2006 09:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.